Requiem dla błazna — sergiusz45

Od autora: Utwór zawiera kilka elementów biograficznych.
Nawet gdyby tak nie było, to przecież pisząc, czerpiemy treść z własnej świadomości. Tak czy inaczej - nasze pisanie - to my.

Requiem dla blazna

Kłam sercu!
Nikt nie zrozumie!
Hasaj w tłumie!
Masz tu kaduceusz,
Chwyć! Rządź!
Mąć nim wodę, mąć!
Na Wesele, na Wesele!
Idź! Mąć tę narodową kadź!
Serce truj, głowę trać!
Na Wesele, na Wesele!
Staj na czele!!!”
(“Wesele”, Wyspiański ; Stańczyk do
Dziennkarza)

Długo zabiegałem o tę rozmowę. Wielki Aktor, który przed laty zszedł ze sceny, usunął się w cień prywatności i stanowczo odmawiał wszelkim próbom wydostania go na światło dnia. Wtedy sięgnąłem do może niezbyt czystej, ale zazwyczaj skutecznej metody. Odszukałem nielicznych już, żyjących przyjaciół Aktora i z ich życzliwą pomocą odwiedziłem Go w krakowskim mieszkaniu. Długie trzy rozmowy, jakie wówczas odbyliśmy, miały zaowocować wywiadem - rzeką. Liczyłem, że po autoryzacji stanie się on materiałem na książkę. Autoryzacja nie doszła do skutku i książka nie powstała. Po trzeciej rozmowie nie nastąpiła ostatnia, czwarta. Wielki Aktor odszedł na zawsze w wieku 80 lat. W oparciu o zapis z nagranych taśm oraz sporządzone notatki, powstała ta relacja.

***

“Pan mnie pyta o moje najlepsze role? Sam nie wiem. Tyle ich przecież było. I każda była dla mnie ważna. W całym swoim długim życiu niosłem bowiem kodeks zachowania, wyniesiony z młodych lat i starałem się jak mogłem, zaszczepić go widzom.

Urodziłem się przed wojną i wychowałem w rodzinie, dla której polskość miała swoje znaczenie. Byłem dzieckiem wątłym i chorowitym, więc matka otaczała mnie szczególną opieką. Mimo biedy, która trwale z nami mieszkała, znajdowała sposoby, aby wyjechać ze mną do sanatorium lub odwiedzić doświadczonego pediatrę. Moja anemia i inne dziecięce dolegliwości przeszły jak ręką odjął, kiedy skończyłem osiem lat. Ale było to już w czasie niemieckiej okupacji.

Mieszkaliśmy wtedy w niewielkim miasteczku, w Górach Świętokrzyskich, znanym z tradycyjnych, wielkich targów końmi. Moi rodzice byli nauczycielami i pracowali na etatach w miejscowej szkole podstawowej. Dla tych etatów, bardzo trudnych do zdobycia, przenieśli się tutaj z większych miast, gdzie było trudno o każdą pracę.

Matka, pochodząca z Zagłębia Dąbrowskiego, wraz z młodszą siostrą, skończyła studium nauczycielskie. W zawierciańskim, rodzinnym domu zostać nie mogły i ze względu na dotkliwą biedę, musiały pójść swoją życiową drogą. Ale matka miała więcej szczęścia. Już po roku bezpłatnego stażu otrzymała pracę w pobliskich Szczekocinach, a później w Lelowie. Uczyła tam żydowskie dzieci przez kilka lat i długo pamiętała ich biedne ubranka i wszechobecny zapach cebuli i czosnku. Jej siostra Helenka, po rocznym bezpłatnym stażu, po którym nie otrzymała propozycji, wybłagała drugi rok pracy, bez wynagrodzenia. Kiedy komisja po raz wtóry nie zaproponowała jej płatnej pracy, wróciła do domu i usiadła w bujanym fotelu. W fotelu kiwała się przez ponad dwa lata, nie reagując na żadne bodźce. Na tę chorobę mówiono wtedy melancholia. Później trafiła do szpitala dla nerwowo chorych, gdzie doczekała się niemieckiego najazdu. Hitlerowcy zlikwidowali szpital i pacjentów, mordując ich jako zbędny dla nich kłopot.

Ojciec również szukał pracy w rodzimych Kielcach w podobny sposób. Ale znalazł ją dopiero w Bodzentynie, gdzie poznał matkę. Gdy wybuchła wojna został zmobilizowany. Wrócił jednak po kilku tygodniach, nawet nie założywszy munduru w wojennym rozgardiaszu. Jego brat Felek, porucznik piechoty, został ogarnięty przez Armię Czerwoną i trafił do niewoli w Kozielsku. Władza radziecka zamordowała go wraz z tysiącami innych polskich oficerów w marcu 1941 roku.

Okupacja niemiecka była dla Bodzentyna i okolicznych wsi ciężka i okrutna. W nocy w miasteczku często buszowali partyzanci, ale za dnia Niemcy przywracali swoją bezwzględną władzę. Pewnego ranka zostałem wypędzony wraz z rodzicami z domu, na dolny rynek. Tam, w dramatycznej atmosferze, żandarmi niemieccy odbyli ponury spektakl. Z długiej listy wyczytywali kolejne nazwiska i siłą wyrywali z tłumu mężczyzn, oskarżając ich o współpracę z partyzantami. W kilku przypadkach dochodziło do zamieszania, bo niektóre nazwiska były w Bodzentynie bardzo popularne i Świderskich, Telków i Czernikiewiczów było wielu z tymi samymi imionami. W takiej sytuacji znalazł się również mój ojciec. Zemdlona matka tego nie widziała, ale ja pamiętam kiedy za wyczytanym ojcem cudem wstawił się miejscowy folksdojcz, też nauczyciel i uwolnił go od pewnej śmierci. Wszyscy bowiem wyrwani z tłumu zostali bezzwłocznie rozstrzelani. Był to słynny bodzentyński “spęd“, który na trwałe obrósł legendą.

Tego dnia przestałem być dzieckiem i stałem się przedwcześnie dorosły. Zrozumiałem czym jest odpowiedzialność za swoje czyny i czym są rodzinne więzy wystawione na traumatyczne próby. Okrzepłem także fizycznie, bo przestałem chorować. Mój organizm znalazł w sobie nowe siły, jak gdyby zrozumiał, że nie są to czasy dla chorowitych dzieci. I to była moja pierwsza, wspaniała rola. Sam zdecydowałem o tym, że jestem zdrowy i nie mogę być ciężarem dla nikogo.

Tylko matkę zmartwiła ta nagła rola dorosłego, który chodził w porteczkach z szelkami.

Czytaliśmy wówczas wspólnie i głośno dziecięcą literaturę. Konopnicka, Makuszyński, Andersen czy Amicis przybliżały mi bohaterów z innego, bajkowego świata, gdzie ludzkie uczucia litości, miłosierdzia, miłości i zwykłej, bo cywilnej odwagi, czyniły człowieka dobrym i godnym naśladowania. Potrafiłem jednak wprawić matkę w zakłopotanie pytając, czy zabijanie Niemców jest dobrym uczynkiem.

Mimo zwyrodniałego terroru i grożącej kary śmierci moi rodzice nauczali dzieci w tajemnicy przed wrogiem. Czy bardziej z patriotyzmu, czy dla kur, masła i jajek, które jako zapłatę przynosili uczniowie, tego nie wiem. Natomiast polską poezję i literaturę, historię i wzory bohaterów poznałem dokładnie, wysłuchując wielokrotnie lekcji prowadzonych tajnie, przez obydwoje rodziców, w naszym mieszkaniu.

To im, a przede wszystkim matce zawdzięczam, że mój patriotyzm jest pełny humanizmu, że nie jest on roszczeniowy i budowany na nienawiści do innych. Przeciwnie, matka wielokrotnie wpajała swoim uczniom wiedzę o naszych wadach narodowych, błędach i winach Polaków, które z Polski wielkiej i potężnej uczyniły kraj bez własnego państwa.

Otrzymałem wtedy także ważną lekcję tolerancji, której nie zapomniałem nigdy. Rodzice bowiem uczyli tajnie także żydowskie dzieci, nie czyniąc nigdy żadnej różnicy między uczniami. Proszę sobie wyobrazić, że po pięćdziesięciu latach, ukazała się w Stanach Zjednoczonych książka, napisana przez żydowską uczennicę mojej matki (Goldie Szachter), w której autorka wymienia ją z nazwiska, z szacunkiem i wdzięcznością. Książka zrobiła w USA zawrotną karierę i trafiła także do Polski.

Ponieważ zdecydowałem, że jestem już dorosły, załatwiałem poważne sprawy. Wynosiłem kubły z odpadkami z jatki, za co dostawałem kawałek smalcu, zamiatałem podłogę u fryzjera i pakowałem włosy do specjalnych woreczków, za co fryzjer strzygł mnie za darmo, a czasem dał kilka dojczmarek. Prawdziwe jednak męskie zajęcie miałem w ruinach starego zamku. Tam, przed kilkoma podobnymi mnie łazikami, deklamowałem wiersze zapamiętane mimo woli, podczas powtarzanych lekcji prowadzonych przez matkę. Szczególnym powodzeniem cieszyła się “Pani Twardowska” Mickiewicza. Sam byłem wówczas Twardowskim i wykorzystując czary, płynące z podpisanego krwią cyrografu, rzucałem na Niemców choroby oraz zarazę, żeby ich wydusiły. Dzieci słuchały z otwartymi ustami, a ja pękałem z dumy.

Pamięta pan jeszcze słowa Wyspiańskiego “sami swoi, polska szopa i ja z chłopa i ty z chłopa”? Tak, to fragment “Wesela” i rozmowy Inteligenta z Chłopem. Jakże znacząco, wręcz prowokująco brzmiały te słowa na zwykłych, nieheblowanych deskach, prowizorycznego teatru na zapadłej, kieleckiej wsi. Były to lata pięćdziesiąte i mieszkałem wówczas z rodzicami w ładnej, przedwojennej szkole, którą wybudowała, przed wojna, wiejska gromada. Było tam nawet mieszkanie dla nauczycieli. Mieszkaliśmy tam przez kilka lat. Z Bodzentyna wygoniła nas płonna nadzieja matki. Chciała ona wyrwać ojca z niedobrego towarzystwa, w którym tu zagustował i odreagowywał wojenne i okupacyjne traumy.

Ojciec został kierownikiem szkoły, a matka po staremu uczyła polskiego i historii. Miała też ambicje społeczne, które padły na dobry grunt. Mieszkańcy okolicznych wsi chętnie, a nawet ambitnie uczestniczyli w wystawianiu sztuk teatralnych. Grało się wtedy “Ożenek” Gogola, “Moralność pani Dulskiej” Zapolskiej i przede wszystkim fragmenty “Wesela” Wyspiańskiego.

Polska wieś, wykorzystywana na wiele sposobów przez ówczesną, prostacką i bezwzględną władzę ludową, przeżywała wtedy ciężkie lata. Brakowało nawet chleba! Obowiązkowe dostawy odbierały chłopu, żyjącemu na podkieleckich piachach, prawie wszystkie plony za marne grosze, za które i tak nie można było prawie niczego kupić w wiejskim sklepiku.

Jak ci ludzie grali! Z pasją, z uczuciem. Często chybionym, co do frazy i treści, ale prawdziwym i płynącym z głębi duszy. A jaka była widownia! Szkolna, największa sala wypełniona była zawsze do ostatniego, stojącego miejsca. Kiedy wiejski kowal grający Gospodarza wygłaszał znaną kwestię: “chłop potęgą jest i basta“, brawa i okrzyki wstrząsały całą szkołą. Ten sam kowal, na wspólnym posiłku, po zakończeniu spektaklu, na gratulacje składane mu przez moją matkę, opowiedział hardo: “A co? Czy potęgą baba może być?”. Różnie więc było z rozumieniem treści padających ze sceny, ale matka zrobiła wiele, aby prawda napisana przez wielkich autorów jednak trafiła do wiejskich głów. Na trzeszczących i chybotliwych deskach tego teatru występowałem również i ja.

Jako uczeń szkoły średniej byłem w Teatrze Starym w Krakowie, gdzie wystawiano pierwsze spektakle “Niemców” Kruczkowskiego. W tamtych czasach to była nowość i rewelacja. Sztuka wstrząsnęła mną do głębi.

Gdzie zatem miałem trafić po maturze? Oczywiście do szkoły teatralnej. Na egzamin opracowałem fragment prozy Sienkiewicza o pojedynku Wołodyjowskiego z Bohunem. Starałem się, jako stary wyga, oddać przebieg pojedynku i terkotałem jak maszyna do szycia. Na dodatek fragment początkowy, który w domu ćwiczyłem godzinami, zaczynający się od słów: “świsnęły szable i ostrze szczęknęło o ostrze“, wygłosiłem w zapamiętaniu jako “szwisneły szable i oszcze szczekneło o oszcze” czym wzbudziłem salwę śmiechu całej szacownej komisji. Na dodatek zachłysnąłem się szczęściem, opisując wygraną Wołodyjowskiego i prawdziwe łzy popłynęły mi po policzkach. Skąd mogłem wtedy wiedzieć, że płakać ma widz, a nie aktor. Kiedy to zrozumiałem, następnego roku ponowiłem próbę i zostałem przyjęty.

W Polsce panował wtedy mrok siermiężnego socjalizmu. Będąc pierwszy raz w Krakowie kupiłem “Przekrój” i zachwycił mnie ten tygodnik, tak inny od pozostałych czasopism. Starałem się później mieć kontakt z tym pismem, co nie było łatwe. W porównaniu z taką gazetą, jak ogólnie dostępna “Przyjaciółka”, krakowski “Przekrój” był prasową arystokracją i jak lufcik wpuszczający świeże powietrze do zatęchłej ogólnie atmosfery. Uczyłem się na pamięć wierszy Gałczyńskiego i jego scenicznych żartów, które tam drukowano, by potem brylować nimi w towarzystwie. A później zostałem po prostu aktorem i dlatego nie będę pana zanudzał moimi rolami. Wszystkie są bowiem, w pewnym sensie, takie same.

Cóż bowiem robi aktor? Jego życie jest straszne. To jest zawód samotników i egocentryków, którzy na potrzebę sceny wypłukują się ze wszystkich emocji. Bo żeby zagrać przekonująco miłość lub nienawiść, to naprawdę trzeba to poczuć. A potem spada kurtyna, gasną światła i zostajesz sam ze sobą. Skąd wziąć potem siłę, aby w prawdziwym życiu, przeżywać naprawdę takie emocje?

Jestem człowiekiem starym i wiem, że już nie umiem odpowiadać na pytania wprost. Z każdą sprawą i z każdym tematem wypluwam mnóstwo nagromadzonych we mnie refleksji, doświadczeń, fobii i natręctw. Dobrze, że sobie o tym przypomniałem, bo jak pan sam widzi, zapytany o najlepsze role, opowiedziałem kawał swojego życiorysu.

Im dłużej żyję, jestem jednak coraz bardziej zniesmaczony otaczającym mnie światem. Weźmy na przykład sztukę sceniczną, o którą właśnie panu idzie. Tacy jak ja, są właściwie na wymarciu. Dosłownie. Popularni twórcy oraz aktorzy estradowi i teatralni doprowadzili bowiem do niesłychanego obniżenia intelektualnych wymagań i poziomu artystycznego widza. To się podoba, jest akceptowane, bo nie wymaga wysiłku myślowego. Teatr i przede wszystkim telewizja publiczna, zatraciły zupełnie swoje, zapisane w akcie urodzenia, posłannictwo. Są teraz odbiciem frustracji, dążeń i fascynacji młodego i średniego pokolenia.

Ludzie nie czytają, bo nie stać ich na książki. Nie tylko - ciężko pracujący, zwykły człowiek nie może kupić mieszkania, stary czeka miesiącami na łaskę służby zdrowia czyli specjalistę, lub specjalistyczne badania. Nazbyt często spotyka się kolesiostwo, korupcję, cwaniactwo. Czy w Polsce jest coś, jakaś dziedzina, która funkcjonuje normalnie?

Czy w takiej atmosferze, w takim natłoku nieudacznictwa, blichtru i cwaniactwa może powstać coś wartościowego, genialnego? Czasem trafię na jakiś przebłysk bogatszy intelektualnie, ale wyjątkowo. Może pojawiają się gdzieś enklawy środowisk z ponad przeciętnym ambicjami kulturowymi? Ale żeby takie środowiska istniały musi być zachęta i zapotrzebowanie. A kto je ma stworzyć? Spauperyzowane intelektualnie społeczeństwo samo się nie wyrwie z błędnego koła. A po co?

Z niesmakiem patrzę na tworzone w Polsce stereotypy patriotyzmu, autorytetów moralnych czy też pokrętne prezentowanie historii.

Rozbiory wymazały Polskę z mapy Europy. Ale Polska jako państwo przestała się liczyć w Europie o ponad sto lat wcześniej, bo zniszczono władzę centralną czyli króla, wprowadzono zaś egalitaryzm czyli samowolę szlachecką. W całej Europie każdy nowy władca odbierał przysięgę na wierność od możnowładców i mógł każdego z nich zniszczyć w każdej chwili, lub odebrać mu ziemię. Miał bowiem wojsko i skarb z podatków. U nas król był nie tylko z pustym skarbem, ale nie wolno mu było mieć wojska liczącego więcej niż 3000 ludzi. Taki magnat Wiśniowiecki mógł mieć za to wojska 10.000 ludzi i użyć go albo z królem, albo przeciw królowi. Dodatkowo Polskę zniszczyła wolna elekcja, “liberum veto”, olbrzymie zagraniczne łapówki i powszechne zdrady możnych, również w sukniach biskupów.

I nie ma co powoływać się na przykład Anglii, w której Cromwell osłabił pozycję króla. Po restauracji rodu królewskiego Stuartów, ciało Cromwella wywleczono z grobu, pozbawiono czci i zakopano w miejscu, którego nikt nie zna. Przy okazji powiem panu, że to Cromwell namówił króla szwedzkiego do “potopu”, napaści na Polskę, w celu odcięcia “rogu ze łba bestii” czyli kościoła katolickiego.

Nasza historia upowszechniana od dziesięcioleci, bywa kłamliwa i tendencyjna.

Książę Józef Poniatowski utonął w Elsterze, bo uciekał z pola przegranej bitwy. A zabili go przez pomyłkę Francuzi, których bronił, a nie wrogowie, z którymi walczył! Kto o tym wie? Po co było kłamać? A najbliższy członek rodziny księcia Józefa, ostatni król Polski Stanisław August Poniatowski - był zdegenerowanym moralnie mężczyzną, utracjuszem, tchórzem, zdrajcą narodu, kochankiem carycy Katarzyny i gorliwym wykonawcą jej rozkazów. My zaś pamiętamy naszemu królowi “Stasiowi” obiady czwartkowe, szkołę rycerską, Kołłątaja i biskupa Krasickiego. I nikt się nie zająknie, jakim był parszywcem, którego lud Warszawy chciał powiesić na suchej gałęzi, tylko udało mu się uciec.

Nie my zwyciężyliśmy pod Monte Cassino niemieckich obrońców klasztoru, gdyż dostali oni rozkaz sprawnego, nocnego odwrotu i Polacy “zdobyli” rano puste ruiny. A odstąpili dlatego, że front został przerwany przez tzw. Wolnych Francuzów i bali się okrążenia. Dopóki Niemcy zajmowali klasztorną twierdzę, nie pozwalali atakującym odważnie Polakom podnieść głowy. My jednak mówimy o zdobyciu i otwarciu aliantom drogi na Rzym. Pytam, komu potrzebne jest to kłamstwo?

Wbijamy do głowy pokoleniom pamięć o Powstaniu Warszawskim nie tłumacząc przy tym, że ci którzy wydali o nim rozkaz byli zaślepionymi polityką zbrodniarzami, którzy wiedzieli jaką hekatombą zniszczeń i śmierci bezbronnych ludzi musi się ono skończyć. Oddano na zatracenie kwiat polskiej młodej inteligencji, której później bardzo brakowało. Oddano na pastwę bandytów Derliwangera dwieście tysięcy cywilnych mieszkańców, w tym dzieci i kobiet. Wielu światłych Polaków odradzało wybuch powstania. Nikt nie chciał ich słuchać.

Czcimy pamięć Małego Powstańca, a nawet postawiliśmy mu pomnik, zamiast wstydzić się tej historycznej hańby przez pokolenia za to, że daliśmy karabin do ręki dziecku. Umiemy natomiast wyszydzać takie zjawiska dzisiaj, w innych krajach. Dokumentujemy, w wielkim specjalnym muzeum, pamiątki z Powstania nie ucząc, że było ono straszliwym błędem, a winę za potworną klęskę i cierpienia zrzucamy na innych. I nie przykryje tej hańby bezprzykładne bohaterstwo młodych warszawiaków. Jeszcze dzisiaj są tacy, którzy wierzą, że Powstanie zniechęciło Stalina do uczynienia z Polski republiki rad. Idioci, nie znający historycznych faktów!

Kiedyś, za czasów Kochanowskiego dzieci polskiej szlachty kształciły się na zachodnich uniwersytetach i przywoziły stamtąd postępowe umysły. Bardzo nie podobało się to polskim magnatom. Uchwalono więc prawo zabraniające kształcenia na zachodzie i zaczęto rugować ludzi wykształconych z życia publicznego. A co robiła u nas współcześnie IV Rzeczpospolita, starając się walczyć z postępowym liberalizmem? Obśmiewała “wykształciuchów”! Trudno o lepszy przykład dzisiejszej głupoty.

Gloryfikujemy własną, narodową martyrologię, której inni mają po dziurki w nosie, za często i nie tam gdzie trzeba. W świecie mamy opinię egzaltowanych, głupio romantycznych marzycieli.

Czesi nie mieli swojego państwa przez prawie tysiąc lat, a zachowali swój język, kulturę i dumę narodową. Co najważniejsze zachowali materialne dowody swojej wielkości i jest to kraj, w którym miasta, miasteczka i wsie są jak z dobrej bajki. Co prawda zhańbili się dzikim odwetem na pokonanym już wrogu i jego poplecznikach na skalę największą w Europie, ale się o tym nie pamięta.

My mieliśmy np. Konfederację Barską, która doprowadziła do totalnego wyniszczenia kraju, a walczyła przecież także o cele co najmniej moralnie wątpliwe. Każde kolejne, zawsze przegrane powstanie, spływało morzem krwi i straszliwymi zniszczeniami narodowego majątku.

Tylko raz w naszej historii, po kolejnym przegranym powstaniu, Polacy poszli po rozum do głowy i zaczęli dbać o to, by nowe pokolenia były wychowywane w duchu pozytywizmu i “pracy u podstaw”. Ten rozsądny, godny podziwu proces, przepadł wraz z wybuchem pierwszej wojny światowej. A kiedy po jej zakończeniu, z łaski zwycięskich mocarstw (tylko Anglia zażarcie sprzeciwiała się powstaniu państwa polskiego), podarowano nam wolny kraj (podobnie jak innym kraikom ze środkowej Europy), co zrobili polscy “patrioci”? Ano rzucili się sobie do gardeł, walcząc o władzę wszelkimi, również niegodziwymi metodami. Dziwne, że jest to okres historii tak mało nam znany, bo wtedy wszystkie odłamy polityczne (a było ich mnóstwo) walczyły ze sobą wściekle i zażarcie. To był główny powód, dla którego nie przygotowano Ojczyzny do nadchodzącej wojny. Dzisiejsza walka polityczna, którą można się brzydzić, jest i tak stosunkowo łagodna. W dwudziestoleciu międzywojennym, w walce politycznej często świstały kule, a i trup słał się gęsto, nie tylko podczas zamachu majowego.

I dzisiaj potrafimy zniszczyć, splugawić każdy prawdziwy autorytet, z którego naprawdę możemy być dumni, bo nie umiemy odróżnić wielkości człowieka – bohatera, czy twórcy - myśliciela od jego słabostek i błędów, które ma każdy z nas. Zasłużoną karierę o wiele łatwiej jest zrobić za granicą. Nasz Instytut Pamięci Narodowej stał się narzędziem w złej sprawie i służy jak pies każdej nowej władzy. Dziennikarstwo stało się sforą ujadających kundli, pracujących na zamówienie. Bezczelne insynuacje i kłamstwo stały się normą, nawet w Sejmie. Żenujące pyskówki zaśmiecają ekran telewizora. Poglądom i krytykom wygłaszanym przez błaznów politycznych, lub ludzi wyraźnie niezdrowych psychicznie nadaje się rangę poważnych wiadomości, prezentując je równorzędnie z tymi mądrymi i odpowiedzialnymi.

Gdzieś zginął zdrowy rozsądek. Media np. wdeptały w ziemię premiera za to, że wytknął mieszkańcom domów zamieszkującym tereny zagrożone powodziami, że się nie ubezpieczyli i oczekują pełnej pomocy od państwa. Miał rację, ale cóż to ma za znaczenie dla prasy i telewizji. Okrzyknięto go arogantem.

Mówi się o Rosji, że kiedyś miała służby specjalne, a teraz służby specjalne mają Rosję. A u nas? Kiedyś Polska miała Kościół katolicki, a dzisiaj to Kościół ma Polskę. Mamona i bezmyślna gigantomania wyznacza teraz cele duszpasterstwa. Szlachetne cele, prawdziwe wartości chrześcijańskie służą za parawan. Cała nadzieja we wspaniałym Papieżu Franciszku.

Czy urodzi się kiedyś drugi Wyspiański i napisze znowu genialną, wstrząsającą sumieniami sztukę o naszych wadach narodowych i szansach, których nie wolno zmarnować? Nie wiem! Ale sprawa wydaje się być pilna.

Nowe polityczne ugrupowanie powstało pod hasłem: Polska jest najważniejsza. Nie! To ja, człowiek, jestem ważny, bo mam jedno życie. I chcę je przeżyć sensownie i pięknie. Więc to hasło jest zwodnicze i sugeruje, że Ojczyzna jest w permanentnym zagrożeniu, nie uwzględniając człowieka. Jeśli my będziemy uczciwi i zadowoleni z życia to i Polska na tym zyska. Każde pokolenie Polaków ma bowiem prawo do własnej definicji patriotyzmu, bo rzeczywistość wymaga myślenia realnego.

Ale dość już o tym. Wbrew pozorom nie stresuje mnie to wszystko tak bardzo, jak to by wyglądało z mojej wypowiedzi. Niech pan pamięta, że jestem aktorem i mogę sterować słuchaczem czy widzem. Jestem też starym człowiekiem i nie muszę się zamartwiać rzeczywistością. Niech się pomartwią młodzi. To są ich kłopoty. Więc niech będą czujni i samodzielni w myśleniu. Stara prawda jest jednak taka, że należy powrócić do starannego , rozumnego wychowania młodzieży. Jeśli młodzież będzie wydana wyłącznie na żer otoczenia nic się nie zmieni na lepsze.

Nie zostawię pana jednak bez odpowiedzi na początkowe, główne pytanie o role i teatralne potyczki. Oto co na przykład zapamiętałem z moich scenicznych i filmowych peregrynacji. Ale teraz lekko i z humorem.

Pewien mądry reżyser mawiał, że z aktorkami i teatrem jest jak z kobietami w miłości. Kobiety ostentacyjnie nieurodziwe dają swemu mężczyźnie o wiele więcej czułości, kobiecości i przywiązania, niż te ostentacyjnie piękne, które oddają się mężczyźnie jak niezasłużona przez nich nagroda. Tak często bywa też w teatrze.

Również zazdrość między ludźmi teatru ma zdumiewające formy. Otóż kiedyś zmarła pewna słynna aktorka. W czasie pochówku na cmentarzu, nie mogła się docisnąć do jej grobu bliska koleżanka, gdyż grób oblegany był przez teatralnych ciurów czyli garderobiane, suflerki i emerytowane aktorki. Gdy zniecierpliwiona poprosiła o przejście, została rozpoznana przez teatralną krawcową, która syknęła nienawistnie: “ Pani to nigdy takiego pogrzebu mieć nie będziesz”.

Kiedy Dejmek został usunięty ze stanowiska dyrektora w związku z polityczną krytyką przedstawienia “Dziadów” Mickiewicza, wyszedł z teatru i chciał kupić papierosy w kiosku. A palił modne wówczas “Mocne”. Nie ma “Mocnych” - odpowiedziała kioskarka.

- Ma pani rację - odparł przygnębiony Dejmek.

Mnie samemu też przydarzały się zabawne przypadki. Kiedyś młody reżyser długo i dokładnie tłumaczył mi jak mam zagrać pewną postać. Lekko rozbawiony jego nietrafnymi uwagami odpowiedziałem: Oj, kochany! Bo zagram tak jak pan mówi! - co było później wykorzystywane do żartów z nielubianych reżyserów.

Mam też w pamięci pewien wierszyk, zasłyszany gdzieś przeze mnie. Nie znam autora, ale wiem, że napisał go o mnie, o moim życiu:

Teatr ogromny i widzów tłum, to lśniący, to szarobury.
Już trzeci dzwonek i cichnie szum, kurtyna idzie do góry.
Już reflektory rozdarły mrok, jaśnieje miejsce na scenie.
Tam każdy z widzów kieruje wzrok, zaczyna się przedstawienie.
Lecz scena pusta już długo dość i katastrofy czuć smrodek.
Wtedy reżyser udając złość - mnie - każe wypchnąć na środek.
I główną rolę każe mi grać, bez tekstu i bez suflera.
I mam pokazać na co mnie stać, że umiem być większy od zera.
Coś mówię i zewsząd dobiega mnie śmiech, coś robię śmiech znowu gości.
Coś mi zapiera w piersi dech. Jak trafić do publiczności?
Choć się starałem ze wszystkich sił, pomidor zgniły mnie trafił.
A widz niezadowolony był i wrzeszczał, żem nic nie potrafił.
Ze sceny schodzę, łeb trzymam nisko, w oczy nie patrzę nikomu.
Bo zmarnowałem szansę na wszystko i wstyd tak wracać do domu.
Ale reżyser czekał w kulisach i kazał się kłaniać na scenie.
-Nie martw się chłopie, zagrałeś nieźle jedyne swe przedstawienie!-

Niech pan zajrzy do mnie jeszcze raz. Jednak opowiem panu o mojej najważniejszej roli. I niech pan pamięta o szczególnej odpowiedzialności dziennikarza za słowo. Nie bez racji jesteście IV władzą, władzą dusz. Wielu mądrali podpiera się na przykład Mrożkiem, uzasadniając jakieś swoje wątłe lub oszukańcze tezy, a nie wie lub nie rozumie tego, że Mrożek po to napisał “Emigrantów”, żeby przypomnieć inteligencji o jej odpowiedzialności za naród.”

***

Niestety, następnej rozmowy już nie będzie nigdy. I autoryzacji też się nie doczekam. Mimo to postanowiłem opisać mój niedokończony wywiad. Bo nie miałem prawa zachować go tylko dla siebie. Na początku zamieściłem motto - przestrogę, kierowaną przez Wyspiańskiego do wszystkich dziennikarzy, którą Mistrz przytoczył na początku naszej pierwszej rozmowy. Z poczuciem takiej odpowiedzialności za słowo i jego skutki, napisałem ten tekst. Jak requiem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

sergiusz45, dodano 14.08.2014 08:53

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.